

Ogród mojej babci

Dla mnie był to cios. Zamykając ostatni raz furtkę, rzuciłam za siebie monetę i przysięgam, że kiedyś odkupię nasz ogród.

Chyba masz sklerozę – stwierdza mama, bo nie pamiętam imienia drugiej żony wuja Stasia, który zresztą dawno temu wyemigrował z Polski. Za to mama nie pamięta naszego ogrodu, w którym ona spędziła młodość, a ja dzieciństwo. Niczego tak dobrze nie pamiętam jak zapachu i koloru tego ogrodu. Pamiętam też bardzo dokładnie biały wiklinowy fotelik, wielki słomiany kapelusz i żółty szal w duże oczka, rekwizyty, z którymi babcia nie rozstawiała się nigdy. Żyła w ogrodzie. – Olenka! – wołała swoim lekko schrypniętym głosem. – Olenka, chodź tu i popatrz, bo nie ma nic piękniejszego! Pokazywała mi, jak wychodzi z ziemi skręcony ślimaczek fasolki, świeże pazurki kopru i jak pękają kleiste pączki na jablonce. Codziennie większe i większe. A potem, jak się z kwiatów zawiązują owoce.

Uczyła mnie imion kwiatów i wiedziała o nich wszystko. Sadziła i siała je wszędzie. Nie było w naszym ogrodzie kunsztownych rabat ułożonych w kolorowe dywany. Kwiaty rosły, gdzie chciały. Na grządkach marchewki, między porzeczkami, a nawet, jak sobie dawały radę, to i pod drzewami. Dbaliśmy z babcią o nie bardzo. Przepraszam, był też klomb. Tam rosły same kwiaty. Piękne georginie, peonie, floksy, goździki pachnące i groszek pachnący, i cynie, i lwie paszczki. Bardzo lubiłam rozmawiać z paszczkami, bo otwierały i zamykały buzie, chociaż nie pachniały. Gdzieniedzie na klombie trafiała się też pietruszka czy por, ale babcia nigdy nie wyrывała tego, co wyrosło, chyba że chwasty. – Mamusia bardzo jej kocha zielsko niż rodzinę – rozplaka-

ła się moja mama, bo wróciła zmęczona z pracy i nie było w domu czegoś ważnego do jedzenia. – Nie jestem kucharką – irytowała się babcia, brała z werandy kapelusz, witkę (do przeganiania naszych psów, bo kopały grządki) i wychodziła do ogrodu. Biegłam za nią, podskakując z radości.

Babcia nie musiała i nie umiała gotować. Kuchnia była dla niej katorgą. Wszystko się przypalało i ciasto zawsze miało zakalec. Nawet głupi suflet jej się zapadał, tak twierdzi mama, która gotuje mistrzowsko i suflet nigdy jej się nie zapadł. Jeśli chodzi o mnie, to pół na pół. Umiem ugotować bardzo dobrze tylko niektóre potrawy. Zresztą w tym wypadku więcej nie umiem, niż umiem. Za to bardzo, bardzo lubię ogród i chyba umiem go uprawiać. Moja mama jest bardzo miejska. W przyrodzie gryzie ją wszystko, muszki, komary, nawet trzmiele i ćmy, które nikogo jeszcze nie ugryzły. Dostaje dreszczy na widok ślimaka czy żaby. Może dlatego zaraz po śmierci babci sprzedała dom i ogród, żeby tego wszystkiego z bliska nie oglądać? Babcia na pewno nie sprzedałaby ogrodu obcym. Dla mnie był to cios. To był mój pierwszy naprawdę wielki smutek. Zamykając ostatni raz furtkę, rzuciłam za siebie monetę i przysięgam, że kiedyś odkupię nasz ogród. Nigdy go już nie zobaczyłam.

Nigdy już potem nie jadłam tak słodkich gruszek i takich pachnących pomidorów. Była jeszcze w naszym ogrodzie bardzo pyszna czarna fasolka, której też nigdy i nigdzie, nawet w Paryżu, nie mogłam znaleźć. Nawet w Paryżu tęskniłam za naszym ogrodem. Czasem próbuję rozmawiać o tym z mamą i nie możemy się dogadać. – Jesteś podobna do babci – słyszę, co należy rozumieć, że kocham zielsko i nie umiem gotować. Być

może gdyby nie ta okropna przeprowadzka do betonu, moje życie wyglądałoby inaczej. Bo potem, kiedy zbudowałam dom na Mazurach, sadziłam drzewa i swoje porzeczki, byłam za bardzo wrośnięta w miasto, w moją bardzo miejską pracę.

Oglądam mój ogród z dobiegu. Są wiosny, kiedy nie zdążam zobaczyć kwitnącej forsycji i trafiaam na ostatnie płatki tulipanów. Gdyby nie nasza kochana Ania, mój warzywnik zamieniłby się w ugór, a maciejka nigdy by nie zapachniała. – Piotrusiu, musisz jechać na Mazury, jedziesz ze mną? – Nie mogę. – Szkoda. – Nie jedź za szybko. – Dobrze. Wpadam w otwartą bramę mojego domu. To znak, że na werandzie czekają Ania i Zygmunt. Całusy. – Na długo przyjechała? – Nie, jutro wracam. – Szkoda, bo tu teraz pięknie. – Pani Aniu, zawsze jest pięknie tam, gdzie rośnie trawa. – No to prawda, ale u nas najpiękniej – uśmiecha się Ania, rodowita Mazurka, bystra, inteligentna i dobra. Kocha te Mazury i dziwi się, jak można żyć gdzie indziej. I słusznie się dziwi.

To prawda, mylą mi się imiona ciotek i wujów i nie wiem, kto ma ile dzieci, nie pamiętam też, co było wczoraj. Za to pamiętam bardzo dokładnie słoneczne żółte popołudnia w naszym ogrodzie, ręce babci poplamione sokiem z owoców, szal w duże oczka, słomiany kapelusz i mój ulubiony agrest, ciemny, z włoskami, słodki jak miód. Zawsze potem bolał mnie brzuch. Już nie ma takiego agrestu. To była tajemnica babci. Ona wiedziała wszystko o ogrodach. *Pamiętajcie o ogrodach, przecież stamtąd przyszliście*, śpiewał Jonasz. To jest piosenka o mojej babci i o mnie. Ja też przyszłam z ogrodu i pamiętam.